

Mam tak samo jak Ty, czyli Blog Fest w moim mieście



Śledząc od jakiegoś czasu poczynania i zamiary Flowmummy i Bakusiowej z wielką podniecią odnotowałam fakt, że dziewczyny knują coś bardzo fajnego. Knuły nie same, bo weszły w komitwę z Basią i Moniką ze Zrób to, no! oraz Emilką z Love2Work. Od razu wiedziałam, że słabo nie będzie, bo wszystkie organizatorki już od dawna są jakością samą w sobie.

Co mnie jednak zawiodło – na pierwszy rzut poszedł Wrocław. Patrzyłam, liczyłam, kilometry, bilety, hotele – żadną siłą nie dało rady. Kiedy pojawiła się Warszawa myślałam, że zabraknie mi na ten cel środków, ale w ostatniej chwili wskrobałam zaskórniaki i jest! Jadę!







Jak było?

Było **FEST**! Nazwa warsztatów nie wzięła się znikąd i odpowiada temu, co się na nich dzieje.

Po pierwsze, szanowne prowadzące zarażają pozytywną energią, motywacją i chęcią do działania i do zmian. U mnie trafiły wobec tego na bardzo podatny grunt.

Po drugie, atmosfera była niesamowita, bo żadna z prezentacji nie była suchym wykładem, ale otwartym dialogiem i przyjacielską rozmową.

Po trzecie, otrzymałam solidnego kopa do działania wymierzonego mi po kolei przez każde słowo dziewczyn, które było świadectwem tego, że to, co robię ma sens.

Dlaczego warto uczestniczyć w Blog Fest?

Blog Fest to spotkanie dla osób, które myślą o założeniu bloga lub prowadzą go od niedawna. I bardzo dobrze, bo olbrzymia polska blogosfera nie bierze pod uwagę początkujących żuczków. A to duży błąd, bo drzemie w nas niewyobrażalna siła! Mam

nadzieję, że pojawią się kolejne edycje w innych miastach, żeby mogło z nich skorzystać jak najwięcej osób.

Blog Fest to również miejsce rozmów, wymiany opinii, miejsce gdzie nikt Cię nie ocenia, tylko daje Ci wiarę we własne możliwości.

Nie ma jednego, gotowego przepisu na blogowy sukces i historie organizatorek potwierdzają tę tezę. Na Blog Fest warto wybrać się nie po to, żeby dostać jedną, gotową receptę. Blog Fest to zalecenia dobrego lekarza z powołaniem, który mówi Ci, co dla Ciebie dobre. A potem już tylko od Ciebie zależy, czy do tych zaleceń się zastosujesz.

Ja zamierzam!







Autorką zdjęcia tytułowego i czterech ostatnich jest przesympatyczna Kasia z bloga Kantorek Katjuszki.

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

- Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
- Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
- Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę

Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę.

Dziękuję!!!

Kubek Lovi 360° – nasza recenzja



MOTHERATORKA
by Magdalena Kopala

Niewiele pamiętamy z lekcji matematyki. Tangens, cotangens, całki, różniczki... A tak, wyniczek odejmowania. Ale chyba nie ma takich osób, które nie wiedziałyby ile to jest 360 stopni. Okręcamy się dookoła własnej osi i to jest zwrot o 360 stopni. Dlatego kubek, z którego dziecko może pić przykładając buzię wzdłuż całego brzegu, firma Lovi ochrzciła właśnie „360°”.

Czym chwali się producent?

Picie jak ze szklanki, ale bez rozlewania.

Kubek LOVI 360° ułatwia przechodzenie od ssania płynu z kubka treningowego i kubka niekapka do picia ze szklanki. Dzięki innowacyjnemu systemowi uszczelniania przyzwyczajają dziecko do naturalnego sposobu picia (jak z otwartego kubka), ale bez rozlewania. Posiada opatentowaną ochronę przed bakteriami.

Cechy kubka LOVI 360°:

- picie jak ze szklanki
- ochrona przed rozlewaniem
- antybakteryjność

Nakrętka 360° umożliwia zassanie płynu z każdego miejsca wokół krawędzi. Posiada ochronę antybakteryjną.

Innowacyjny system uszczelniania

Łatwy do umycia, umożliwia picie bez rozlewania, ale celowo nie jest niekapkiem (przy silnym potrząśnięciu lub upadku wydobywają się krople płynu) – uczy dziecko kontroli ruchów i przygotowuje do picia z otwartego kubka. Uszczelka do kubka jest również sprzedawana osobno.

Profilowane, antypoślizgowe uchwyty dostosowane są do małych rączek dziecka, posiadają gumowaną antypoślizgową powłokę.

Ochrona antybakteryjna SteriTouch wykorzystuje naturalne, antybakteryjne właściwości srebra i pozwala na zredukowanie populacji bakterii, aż do 99,99% w ciągu 24 godzin.

Kapsel chroni nakrętkę kubka przed zabrudzeniem.

Kompatybilna nakrętka może być stosowana wymiennie z nakrętką kubka Hot&Cold Friends.

Stabilna podstawa Poszerzona i pokryta dodatkową warstwą gumy (w kubkach mini i junior).







A co myślimy na ten temat ja i moje dziecko?

Kubek nie od razu przypadł Ignasiowi do gustu. Niekapków nie lubił nigdy, więc do tej pory pił z bidonu i to była jego ulubiona forma przyswajania płynów. Przyzwyczajony do tego, że czasami dajemy mu spróbować się napić ze zwykłego kubka nie wiedział, że trzeba ssać, jednak po dłuższej chwili załapał klimat.

Kubek wykonany jest z miłego w dotyku, ale nie śliskiego plastiku, powierzchnia jest lekko chropowata. Wersja retro, którą ma mój synek, ozdobiona jest melonikiem i wąsami, ma też moim zdaniem przyjemniejszą dla oka kolorystykę, w przeciwieństwie do krzykliwych kolorów klasycznej wersji. Właśnie zorientowałam się, że gdzieś musiała mi umknąć

podstawka, ponieważ nasza wersja jej nie posiada, ale myślę, że ponad roczne dziecko świetnie już sobie bez niej poradzi. Dużą zaletą kubka jest fakt, iż dziecko może z niego pić zarówno na stojąco, jak i na leżąco, co pozwala mi powoli wyeliminować butelkę ze smoczkiem z codziennego użytku.

Wady odkryłam na razie dwie – uchwyty są niestety na tyle małe, że Ignas woli złapać kubek oburącz nie używając do tego uchwytów.

Druga sprawa to wylewanie picia. Producent twierdzi, iż jest ono celowe, jednak zawartość kubka pozostawionego bez nadzoru rodzica może się bardzo szybko znaleźć na stole lub podłodze.

Podsumowując, kubek na pewno spełni swoją rolę i przygotowuje moje dziecko na picie z „dorosłej” szklanki. Czy jest do tego niezbędny? Wydaje mi się, że nie do końca. Ale tak ładnie wygląda kiedy gdzieś z nim wychodzimy! ☐









Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

- Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
- Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
- Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę

Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę.

Dziękuję!!!

Matka – trzydziestolatka, czyli jak leczyłam swój styl

MATKA - TRZYDZIESTOLATKA,
CZYLI JAK LECZYŁAM SWÓJ STYL



Będąc wielkim pociążowym wielorybem i odkrywszy u Marysi, że istnieje ktoś tak wspaniały jak Style Doctor, zakrzyknęłam do mojego męża i rodziców, że ja na trzydziestkę nie chcę nic innego jak tylko środki do szaleństwa na rzecz wymiany zawartości mojej szafy.

Urodziny przyszły, obiecany prezent otrzymałam i niezwłocznie zapisałam się na przegląd szafy z Kaliną.

Jak zrewolucjonizowałam mój styl ubierania

1. Przegląd szafy

Moja szafa... No cóż, niewiele dobrego dało się o niej

powiedzieć. Wystarczy nadmienić, że przez ostatnie dwa lata nie kupiłam sobie z ciuchów praktycznie nic poza kilkoma t-shirtami na wakacje i dressem po domu, a kilka miesięcy temu trzy czwarte szafy osobiście i bez zbędnych sentymentów w trzech wielkich worach wywaliłam na śmietnik.

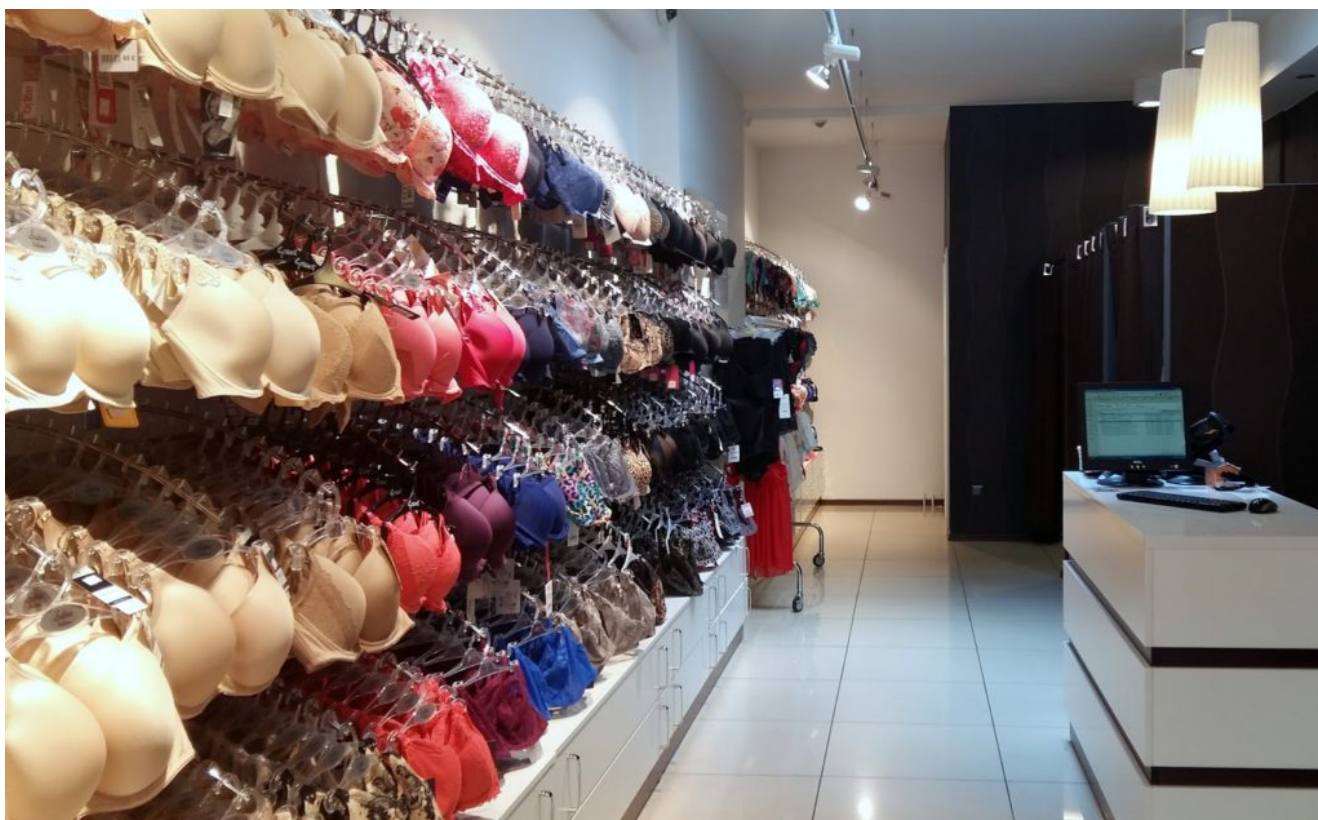
Okazało się, że zadziałałam sama na swoją korzyść. Kalina określiła mój typ kolorystyczny (zimne lato) i moją sylwetkę jako typową klepsydrę, innymi słowy S, czyli szczupłą, wysoką, proporcjonalną (ramiona równe szerokości bioder), z pięknie zarysowaną talią. Co tu dużo kryć, laska ze mnie! No w każdym razie źle nie jest. Ale do rzeczy. Wiedząc na czym stoimy, zaczęłyśmy przeglądać moje ubrania. Wszystko co stare, zniszczone, co absolutnie wyszło z mody i w żaden sposób nie było uniwersalne, poszło do worka. Dzięki temu, że sama wcześniej to wszystko przejrzałam, poszło nam dość szybko. Najpierw buty (tylko trzy pary, tu odetchnęłam z wielką ulgą), potem kurtki i płaszcze (tu gorzej, bo wniwecz poszły... wszystkie), a na końcu ciuchy codzienne. Torebki na szczęście mam dwie duże, naprawdę dobre i nic z nimi nie trzeba było robić. Kalina skompletowała mi z tego wszystkiego kilka zestawów, z którego żadnego w życiu bym w ten sposób sama nie dobrała, mimo że doskonale do siebie pasowały. Ponadto dostałam nakaz wkładania koszul w spodnie i zawijania rękawów, co, jak widać poniżej, jest bardzo rozsądnym pomysłem (ten wór za mną to obraz zniszczeń, na który wyraziłam oficjalną zgodę!).



2. Dobranie bielizny

Zawartości mojej szafy zostało na tyle mało, że autentycznie nie wiedziałam w co się ubrać kiedy postanowiłyśmy, że od razu jedziemy na spontaniczne zakupy. To, o czym wiedziałam już wcześniej, okazało się być najprawdźwiwszą prawdą: żadne ubranie nie będzie dobrze wyglądało na kobiecie, która ma źle dobrany biustonosz. Mając to na uwadze, skierowałyśmy nasze pierwsze kroki do sprawdzonego już przez Kalinę na własnej skórze salonu z bielizną Satine, gdzie przesympatyczna właścicielka, profesjonalna brafitterka pani Monika, natychmiast określiła mój rozmiar i dobrała mi dwa fantastyczne biustonosze. Czasu i pieniędzy zabrało mi to naprawdę niewiele, a od razu zaczęłam lepiej się czuć we własnej skórze.

A to był dopiero początek.



3. Zakup ubrań i okularów

Dalej było już tylko jeszcze milej. Nie będę się rozwodzić nad szczegółami konkretnych ubrań, które wybrała dla mnie Kalina, bo o tym zrobię oddzielny wpis opatrzonego zdjęciami zestawów. Ten punkt to miejsce, w którym zamierzam rozplynać się nad kawałkiem solidnej, ciężkiej, a wręcz katorżniczej roboty, którą na takich zakupach wykonuje Kalina.

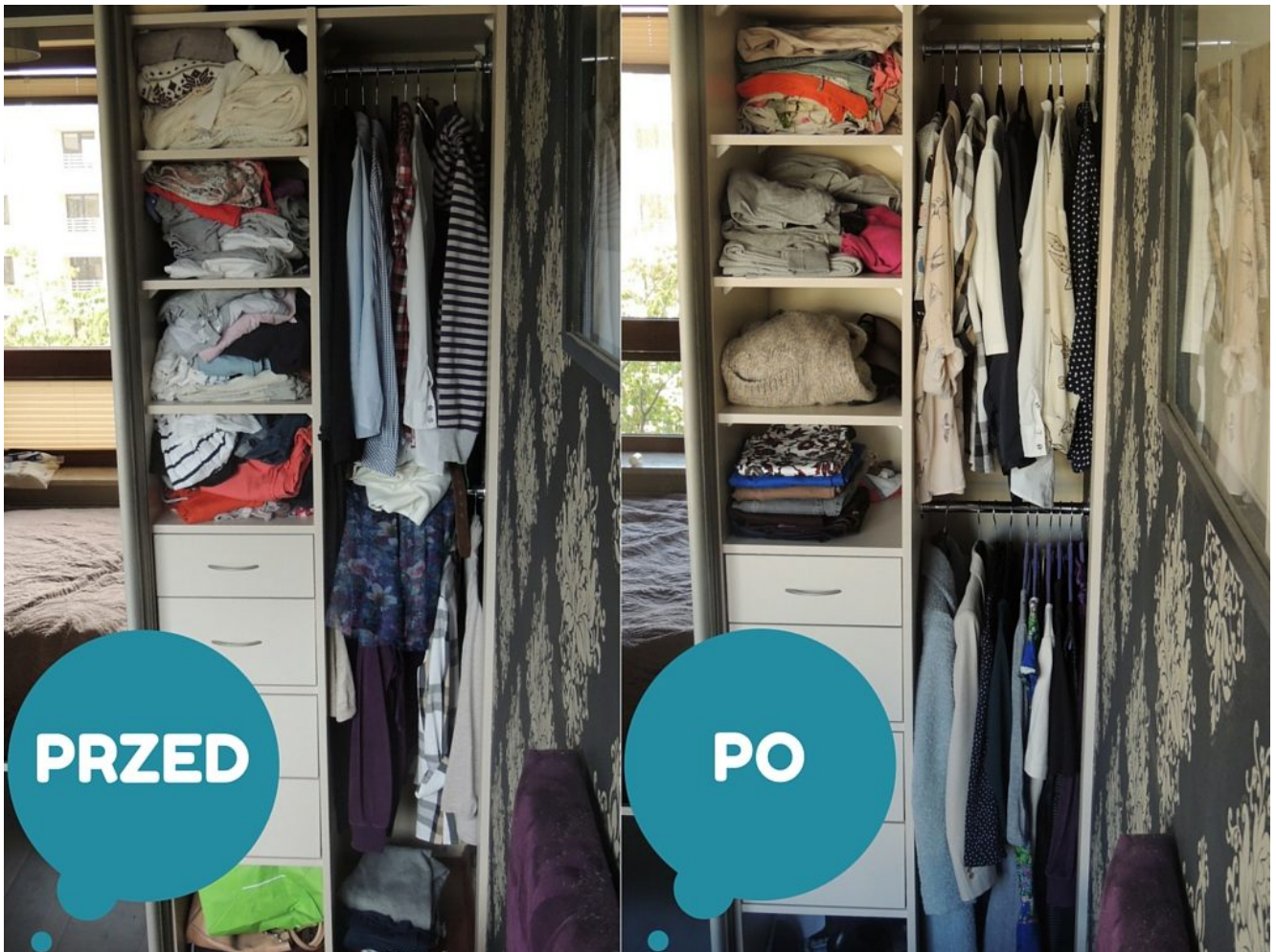
Po pierwsze, jako rasowa stylistka doskonale wie do jakich sklepów wejść tak, żeby dopasować się do budżetu klientki. Bez mrugnięcia okiem, niczym lew po klatce krąży wśród wieszaków dobierając najlepsze kroje i kolory. Mimo swojej drobnej postury cierpliwie nosi dziesiątki wieszaków, donosi do przymierzalni odpowiednie rozmiary, a w samej przymierzalni od razu na miejscu pokazuje jak łączyć ze sobą nowe ubrania. Nie jest przy tym nachalna. Bardzo umiejętnie, siłą perswazji przekonuje o tym, co dla Ciebie dobre, ale jeżeli w danym kroju czujesz się jak w trochę lepszym szlafroku lub jakbyś się przeniosła do czasów purytańskiej Ameryki, Kalina nie zmusi Cię do tego, w czym ewidentnie czujesz się źle.

Po drugie jeszcze raz napiszę tutaj to, co napisałam Kalinie po naszych zakupach. Takie zakupy to dla mnie dopiero początek, bo pozwalają one samodzielnie dobrać sobie kolory i fasony, wiedząc już gdzie i czego szukać. Dla mnie wcześniej była to wiedza tajemna i nieodgadniona, teraz już nie kręcę się po sklepie po omacku. Czuję się dużo bardziej pewna siebie i po prostu się sobie podobam, a powrót do pracy, który mam przed sobą, będzie dla mnie doskonałą okazją do tego, żeby przetestować wszystkie zestawy, które skomponowała mi Kalina.

Co więcej, sobota spędzona ze Style Doctor to jeden z najlepszych dni mojego życia i życzę sobie jeszcze wielu takich. Jako wisienka na torcie Kalina pomogła mi dobrać perfekcyjne oprawki okularów, które pokochałam miłością od pierwszego wejrzenia. Cierpliwie przymierzała ze mną kolejne sztuki w kolejnych salonach mówiąc co jest z nimi nie tak, aż w końcu, niczym przy wyborze sukni ślubnej, coś w nas obu podskoczyło na widok tych jedynych.

Myślę, że nie potrzeba już więcej słów. Kalina, jeszcze raz Ci bardzo dziękuję za drugie życie, które dałaś mi i mojej szafie!





Czy to się mieści w głowie?



Jako dość świeżo upieczonego rodzica, kreskówka „W głowie się nie mieści” przyciągnęła moją uwagę już na etapie trailera, który to krótko i na temat wyjaśnił, że film w piękny sposób opisuje uczucia dziecka prosto z jego małej główki. Kolejne „I kto to mówi?” w wersji rysunkowej? O tak!

Analogia do kultowego filmu lat dziewięćdziesiątych w rzeczywistości jest niewielka, niemniej jednak film ogląda się z niekłamaną przyjemnością bez względu na wiek, a wiem coś o tym, bo wybrałam się do kina (ja, 30-letnia mama) z 36-letnią koleżanką, jej 11-letnim synem i 4-letnim siostrzeńcem. Całe towarzystwo się śmiało, ocierało łezkę i jednogłośnie stwierdziło, że film jest piękny, mądry i śmieszny.

Dlaczego piękny?

Bo opowiada o emocjach dziecka, z których każda jest w równym

stopniu niezbędna. Bo pozwala i pomaga o tych emocjach rozmawiać z dzieckiem, inaczej na nie spojrzeć i również dla siebie, jako rodzica, mieć dużo więcej wyrozumiałości.

Dlaczego mądry?

Bo pokazuje jak kruche są dziecięce fundamenty, ale jak mądrze można je odbudować dzięki sile rodziny i miłości. W dzisiejszych czasach, kiedy wartości rodzinne gdzieś nam umykają przez brak czasu i dużą ilość rozwodów, takie przesłania są bardzo cenne. Że w jedności siła, że warto się starać, że każda zmiana może dać nam coś dobrego, ale to zależy tylko od nas. To my budujemy nasze wspomnienia, a z perspektywy czasu okazuje się, że naszą siłą są zarówno te radosne, jak i te smutne chwile.

I na koniec: dlaczego śmieszny?

Bo, jak na każdym dobrym filmie animowanym, dorośli śmieją się w innych momentach, młodzież w innych, a dzieci jeszcze w innych. Dla mnie był to momentami śmiech przez łzy wzruszenia, bo nie sposób się nie wzruszyć mając z tyłu głowy reakcje i uczucia własnego dziecka. Ale śmiałam się też do rozpuku obserwując interakcje między poszczególnymi emocjami, no i na scenach w trakcie napisów końcowych. Warto na nich zostać!

Jeżeli też tak macie, że, odkąd zostaliście rodzicami, na filmy i sceny z dziećmi i o dzieciach patrzycie w zupełnie inny sposób niż wcześniej, koniecznie idźcie, sami lub z ze swoją pociechą, na „W głowie się nie mieści”. Tylko zróbcie sobie w głowach zapas miejsca, żeby te wszystkie dziecięce emocje się w nich pomieściły!

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

- Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
- Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
- Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę

Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę wiedziała, że moi czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co

**piszę.
Dziękuję!!!**

Fryzjerkowo, czyli pierwsze postrzyżyny mojego dziecka



Fala upałów, które przetoczyły się w tym roku przez Polskę sprawiła, że śliczne loczki mojego synka, które do tej pory dodawały mu uroku (poza momentami, kiedy starsze panie na placu zabaw

brały go za dziewczynkę...) ten urok niestety straciły – posklejały się niemiłosiernie i sprawiały więcej kłopotu niż radości. A jak wiadomo, i tak wystarczająco dużo mamy przy dziecku roboty, więc po co sobie dorzucać dodatkowej? No właśnie.

Myślałam, myślałam, jak by to rozwiązać. Sama go nie ostrzygę, bo jestem antytalent do tego stopnia, że ani grzywki bym sobie nie przystrzygła (gdybym takową posiadała), ani nie podgoliła męzowskiej szyi, a co dopiero ostrzyć dziecko, i to własne. Fryzjerzy tak zwani *dorośli* odpadali, bo Ignac na swej kształtnej pupce nie usiedzi ani minuty. Tak trafiłam na Fryzjerkowo, salon fryzjerski zlokalizowany na warszawskiej ulicy Foksał, przeznaczony tylko i wyłącznie dla takich małych klientów.

Zapisałam pierworodnego, termin był szybki, długo czekać nie musiałam. Pech chciał, że w dniu strzyżenia moje dziecko było wyjątkowo marudne i rozregulowało sobie grafik zarówno spania, jak i jedzenia, więc wielce sceptyczni dojechaliśmy tam na ostatnią chwilę z marudzącym brzdącem.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy po przestąpieniu progu Fryzjerkowa Ignas rozpogodził się natychmiast. Jest tam tak barwnie i różnorodnie, że trudno mu się było dziwić. Przy zapisie wybiera się miejsce strzyżenia – samochód lub stołeczek + kolana rodzica i u nas była to ta druga opcja, aczkolwiek już na miejscu okazało się, że moje dziecko rwie się do samochodu, a dziewczynka strzyżona w nim stroi fochy, no ale cóż. Następnym razem będę mądrzejsza o to doświadczenie.

Ciocia fryzjerka niewiele czekając i bez zbędnych ceregieli złapała za nożyczki, usadziła delikwenta na kolanach tatusia i zaczęła się... magia. W życiu bym nie uwierzyła, że ktokolwiek będzie w stanie tak sprawnie ogarnąć tę ruchliwą główkę. Oczywiście w międzyczasie ja robiłam zdjęcia i zabawiałam, zostały też puszczone bajki na maleńkim telewizorku, a kolejne pukle spadały na podłogę. I tadaam! Cała akcja trwała może 10-15 minut. Już po wszystkim jeden pukiel wylądował w plastikowej torebeczce, którą ciocia fryzjerka przykleiła do certyfikatu pierwszego strzyżenia, który jest dla nas super

pamiątką.

Taka przyjemność kosztuje 55 zł i uważam, że naprawdę warto, więc jeżeli macie w swoich miastach możliwość skorzystania, to koniecznie zapiszcie swoje dziecko bez wahania!

Fryzjerkowo, poza standardową usługą strzyżenia, jest również miejscem, w którym można brzdącowi zakupić jakąś miłą zabawkę lub inną ładną rzecz – np. kapciuszki Titot lub ręcznie szytą bawełnianą czapkę. Ja tym razem się nie skusiłam, ale na pewno jeszcze nieraz tam zagościmy.

A oto efekty i certyfikat. Nam się podoba!







CERTYFIKAT PIERWSZEGO STRYŻENIA

dla

Ignacy

Rogala



Termy Mszczonów – moja słodko-gorzka recenzja



Ostatnie upały mocno dają nam się we znaki i w momencie, kiedy cień parkowych drzew przestał nam wystarczać, postanowiliśmy z synkiem skorzystać z propozycji dziadków i wybraliśmy się

popłuskać na basenach w odległym o 50 km od Warszawy Mszczonowie.

W samej Warszawie niestety brakuje takich większych odkrytych kąpielisk, z bardziej znanych kojarzę tylko Moczydło, ale tam z małym dzieckiem raczej bym się nie wybrała.

Co do samego Mszczonowa, moje skojarzenia poprzez słowo „termy” powędrowały do Bukowiny – miejsca super zadbanego, czystego, bardzo dobrze utrzymanego. Mszczonów niestety aż tak dobrym poziomem nie może się pochwalić. Ale od początku.

Najpierw powiem co dobrego.

Na pewno plusem jest bardzo duży trawnik z ładnie utrzymaną trawą, leżakami, zacienionym parasolami fragmentem, szafkami na kluczyk, w których można zostawić cenniejsze rzeczy, i sporym placem zabaw. Byliśmy w tygodniu, więc miejsca było wystarczająco, dużo wolnych leżaków, ale szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie tej przestrzeni w weekend. Jak spory by ten trawnik nie był, to podejrzewam, że w sobotę i niedzielę nie da się tam szpilki wetknąć między ludzi.

Nam trawnik przysłużył się bardzo kiedy synka trzeba było uśpić w wózku poprzez delikatne bujanie. Bujało a i owszem, a i chodzić było gdzie.



Same baseny są dość spore i dość czyste, przy czym słowo „dość” jest tu słowem kluczowym. Do dyspozycji gości jest na zewnątrz duży basen sportowy, duży basen rekreacyjny z dwiema zjeżdżalniami, dyszą tryskającą wodą pod dużym ciśnieniem,

bąblami, na których można siedzieć o ile jakieś towarzystwo nie okupuje ich permanentnie, dwoma jacuzzi obwarowanymi tymi samymi warunkami co bąble, strefą niewielkich fontann dla dzieci, brodzikiem z małą zjeżdżalenką i basenem termalnym, znajdującym się częściowo na zewnątrz i częściowo w środku.

Dla zgłodniałych do dyspozycji jest dwuczęściowy bar – w jednym można kupić, frytki, hamburgery, zapiekanki i chyba nawet jakieś ryby, w drugim smakołyki z grilla oraz oczywiście zimne napoje. Co ciekawe, na całym terenie basenów jest zakaz spożywania własnych posiłków (ekhem.). Ceny dość przystępne, 5 zł za frytki to raczej nie majątek.

Przed wejściem głównym można też kupić pompowane zabawki dla dzieci i klapki, jakby ktoś zapomniał (jest obowiązek zmiany obuwia).

A jakie minusy?

Pierwszy i, jak dla mnie, największy: smród. Nie da rady tego owijać w bawełnę, bo tam po prostu śmierdzi, najbardziej tym, czego ciężko uniknąć w dużych zbiorowiskach, gdzie wiele dzieci kąpie się w jednym miejscu, a których rodzicom ciężko kontrolować ich pęcherze. Śmierdzi też stęchlizną przy brzegach basenów, z kratek, do których odpływa nadmiar wody, a gdzie czasami człowiek lubi sobie usiąść żeby pomoczyć nogi.

Co więcej? Plac zabaw, tak jak zresztą widać na powyższym zdjęciu, które pozwoliłam sobie pożyczyć z oficjalnej strony mszczonowskich term, jest totalnie cały w słońcu. Zero drzewka albo okolicznego budynku, które chociaż dawałyby szansę na cień. Chyba jasne, że w takich warunkach plac raczej nie cieszył się dużym powodzeniem.

Kolejna sprawa to kolor wody w basenie termalnym, który był mocno nieciekawym, ale może taki powinien być, a ja się nie

znam. Według mnie wyglądał jakby ktoś do niego wycisnął stare brudne skarpety. No nie bardzo ma się ochotę wchodzić do tej wody.

Ostatni punkt to ilość ludzi w basenach. Byłam w Mszczonowie w tygodniu (czwartek), a w wodzie i tak nie można było się czuć komfortowo, bo pluskanie się polegało głównie na obijaniu się łokciami o pozostałych pływaków. Nie wiem jak rozwiązane jest to w weekend – być może wpuszczana jest tylko konkretna ilość osób, a spóźnialscy muszą czekać, aż korzystający z uroków kąpieliska zakończą korzystanie? Mam nadzieję, bo jeżeli takiego ograniczenia nie ma, to biada weekendowym gościom.

Podsumowując – spędziłam tam 4,5 godziny, bawiłam się nie najgorzej, zrelaksowałam się, skorzystałam z basenów, moje dziecko poplaskało się w brodziku, o to nam chodziło. Czy wrócę? Nieszybko, bo jednak lubię spędzać czas w zgodzie z moim powonieniem. Ale spróbować warto.





